


# Swiat MŁODYCH

Nr 11 (17), 11-17 MAJ 1947

Cena 20 zł



„...My, wojsko demokracji polskiej, idąc od zwycięstwa do zwycięstwa, okryliśmy oręż polski niespotykaną chwałą. Zanieśliśmy nasze sztandary bojowe głęboko w ziemie wroga... Zbrojną stopą stanęliśmy w Berlinie...

(z meldunku, złożonego przez delegację I Armii  
Wojska Polskiego Krajowej Radzie Narodowej  
dnia 8 maja 1945 roku)

# MILIONOWE RZESZE OBCHODZA ŚWIĘTO 1 MAJA



Premier Cyraniewicz przemawia:

„W dniu 1 Maja demonstrujemy pod hasłem — niech żyje międzynarodowa współpraca całego ruchu robotniczego. Niech żyje międzynarodowa walka ludów przeciw nowej ofensywie imperializmu i reakcji, walka o pogłębienie i utrudnienie zdobycy społecznego, walka o pokój. W dniu 1 Maja ruch robotniczy na całym świecie demonstruje pod hasłem: Niech żyje socjalizm!”



Święto Majowe w całym kraju odbyło się w atmosferze absolutnego spokoju, powagi i pogodnego nastroju. Wszędzie las sztandarów — czerwonych, biało-czerwonych, tęczyowych — towarzyszył maszerującym pochodom. Wszędzie w całym kraju demonstrowały rzesze robotnicze pod znakiem jedności proletariatu polskiego i jedności demokracji polskiej.

FOTO J. JARACZEWSKI





Dolores Ibarruri przemawia:

„Myśli się ci, którzy wiszące Warszawa, sądzili, że zwyciężą duszę narodu polskiego. Nie ma siły, która potrafiłaby pokonać ducha i wolę narodu, który chce być wolnym. Robotnicy Warszawy! Gdy wrócę do swego kraju — do robotników hiszpańskich, będę mogła im powiedzieć, jak ciężka i krwawa była droga, która Was prowadziła do zwycięstwa i jak wielkie są wasze osiągnięcia!”



Warszawa:	200.000 demonstrantów
Województwo szansa-ensawwacke:	500.000 demonstrantów
Wrocław:	90.000 demonstrantów
Łódź:	150.000 demonstrantów
Poznań:	100.000 demonstrantów
Olsztyn:	30.000 demonstrantów
Gdańsk:	35.000 demonstrantów
Kielce:	15.000 demonstrantów
Białystok:	15.000 demonstrantów



STANISŁAW STASZYC

uparcie walczył o równość praw miast i wiejszczyzny, który pod wiekiem, trwającym dwadzieścia i pięć lat, podważeni byli wszelkich praw, oprócz prawa i obowiązku ciężkiej pracy wytwórczej na użytek szlachty i arystokracji.



HUGO KOŁŁĄTAJ

walczył wytrwale o unowocześnienie przestarzałej formy rządu, oraz ustroju szkolnego i treści nauk. Dziś już niemał uległo zapomnieniu, że np. jego jest zasługą wprowadzenie nauk astronomii wedle teorii Kopernika na Uniwersytet Jagielloński po 250 latach jej istnienia i po 300 latach jej wykładania na uniwersytetach zagranicznych.



FOTO FILM POLSKI

Oddajemy hołd wielkim postępowym ideałom wychowawczym Kołłątaja, Staszycy, twórców Komisji Edukacji Narodowej, wielkich orędowników sprawy wyzwolenia z niewoli mas chłopackich i błędy mieszczańskie, wyzwolenia mas ludowych.

Rzetelnym, szczerym, najwłaściwszym wy-

razem tego hołdu niechaj będzie nasza codzienna praca, nasz wielki ogólnonarodowy wysiłek, aby przekazać ich ideały społeczne i wychowawcze w orgę demokratycznych przemian społeczno-politycznych w Polsce dzisiejszej.

Z przemówienia Prezydenta Bieruta, wygłoszonego przez radio w dniu 3 maja 1947 roku.

## ZWYCIĘSTWO

Słowa o krew pełniejsze  
pieśnią pokoju płyną.

Jak bukiecik zieleni i kwiatów  
nad lufą karabinu.

Apel wolności. Brak milionów.  
Śmierć ich zna tylko morderca.  
Tylko ziemia, powietrze, ogień,  
morze —  
najgłębszą prawdę o nich wie.

Ożywając milczeniem — nad ostatnim  
poległym  
pochylić się musi wiersz.

9 maja 1945.



# ŚWIĘTO ZWYCIĘSTWA

„Nadszedł dzień oczekiwany przez całą ludzkość, dzień, którego wywalczenie kosztowało miliony ofiar spośród wszystkich narodów, miłujących wolność.

Złamana została ostatecznie ohydna w swym barbarzyństwie hitlerowsko-germańska potęga i po sześciu prawie latach męki, ofiar i krwi zaświtał znów dla ludzkości — pokój.

Złamany został wróg, który zamierzał i realizował zniszczenie narodu polskiego. Starta została przemoc, poprzez tysiąclecia wisząca nad Polską”.

Słowa orędzie Prezydenta Bieruta z dnia 9 maja 1945 r. najlepiej charakteryzują istotę tego największego w dziejach zwycięstwa.

Kiedy w drugiej połowie kwietnia 1945 roku armie polskie przekroczyły Odrę i Nysę i ruszyły do ataku, stało się dla wszystkich jasne, że zbliża się ostatni akt światowej zawieruchy wojennej.

Wróg nie poddawał się jeszcze, broniąc każdego metra drogi, prowadzącej do Berlina, z niesłychaną zaciętością. Nie zeszła dziwnego. Niemcy bali się kary za popełnione zbrodnie.

Ale żołnierz polski, posuwając się razem z żołnierzem radzieckim w ustawicznych bojach naprzód, bił wroga na jego własnej ziemi. I coraz silniej zaciskał się pierścień nacierających armii dokoła stolicy prusactwa.

Największym wyczynem Wojska Polskiego w tym okresie była krwawa bitwa pod Budziszynem, w której dowodzona przez ś. p. gen. Świerczewskiego II Armia powstrzymała przeważające siły nieprzyjaciela, zdążającego na odsiecz zagrożonemu Berlinowi.

W chwili przerwania działań wojennych oddziały I Armii Wojska Polskiego, którą dowodził gen. Popławski, znajdowały się daleko na zachód od Berlina, nad Łabą, jednostki zaś II Armii dotarły do Dreżna i pod Pragę, niosąc wolność narodom Czechosłowacji.

Z tego historycznego zwycięstwa oręża polskiego płynie dla nas żywa nauka.

Droga, obrona przez naród polski w ostatniej wojnie, okazała się celowa i słuszna. Żołnierza polskiego zaprowadziła do serca niemieczyzny, a Polsce przywróciła granice na Odrze i Nysie, które są granicami pokoju świata.

L. Lewiński



Nasi żołnierze przed Bramą Brandenburską w Berlinie.



Ruiny Reichstagu.

FOTO FILM POLSKI





# Dożyliśmy do Łeby

Samochody d'uga kolumną wjechały do jakiegoś miasteczka. Wymarły przed chwilą ulicę zapelnily się gwarcm głowóm, szumcm gazonych motorów, tupotem nóg ludzkich. Gdzieniedzie za oknami niewysokich, parterowych przeważnie domków, mgwały postacie ludzkie. Niemcy przylepiali na chwilę wystraszone twarze do szyb i natychmiast cofali się w głąb mieszkań.

Nasi Dodge, wysłuzony bojowy samochod, mający za sobą nie jeden kilometr frontowych dróg i bezdroży — zatrzymujemy się pośrodku zatłoczonej ulicy. Wyskakujemy w światło, rozbrzygzujące się błoto. Wyskakujemy pierwsza i czuję, że ktoś trąca mnie mocno w ramię. Nie wiele brakuowało, a leżałabym plackiem w łapkám, glinianym mułu. Na szczęście czuję mocne ręce chwytające mnie w pól. Zmieszana i trochę zła na siebie podnoszę głowę i już z radością wykrzykuję: Szynek! Jakże licho cię tu przyniosło? Gdzie twój pułk sto?

Mój wybauca, to kapitan Jolles z dowództwa 16 pułku. Jest zmęczony, przyblady, ale oczy jego trykają wesołcm. — Przed minutą przyjechałcm. Szukam generała. Muszę mu zameldować, że godzinę temu dotarliśmy do Łeby. Na drugim brzegu — Amerykanie.

W mg otacza nas grupa oficerów i żołnierzy. Padają beładne pytania, każdy chciałby się dowiedzieć bliższych szczegółów. Ale Szynek wyrwa się z kregu ciekawych i już z odległości kilku kroków rzuca nam krótko: Nie ma czasu. Mój pułkownik czeka na rozkazy dowódcy armii!

Oszcolumieni patrzmy na siebie. Trudno uw.rzyć w wiadomość podaną przed chwilą przez kapitana. Wiec jak to, nie ma już przed nami Niemców? Nasze oddziały zetknęły się z armią sojuszniczą?



Saperzy budują most

To, na co czekałabym od wielu tygodni, stało się faktem. Front wschodni i zachodni zbliżyły się do siebie na odległość kilkuset metrów, rozdziela je tylko niemiecka rzeka Łaba. Rzeka, której nie trzeba już forsować, za którą nie czujają nieprzyjacielskie działa i czołgi. Ażeby to sobie uprzytomnić, ażeby uwierzyć — trzeba zobaczyć na własne oczy!

Nazajutrz, wczesnym rankiem nasz samochód mknie pełnym gazem na zachód. Pełnym gazem? Łatwo to powiedzieć, ale spróbujcie rozwinąć pełną szybkość, gdy co krnk przecinają drogę leje pociągów, rowy strzeleckie i barykady gruzów. Wszędzie widać świeże ślady walk, spalone domy, porzuczone w pośpiechu przez wyrwywających Niemców działa przeciwlotnicze, przewoźnicze, na pródce skłcone mosty i kładki. Wczoraj rano przechodziła tędy była dywizja piechoty, zmiatając przed sobą resztki „nieowycięzionej” armii niemieckiej.

Zbliżamy się do Hetweli, ostatniej rzeki, którą nasi żołnierze forsowali w boju. Most? Oczywiście był kiedyś most, po którym akuratrzy, dobrze odżywieni Niemcy przechodzili na drugą stronę. Był to niedawna, betonowy, wsparty na mocznych, żelaznych wieżach. Teraz w tym miejscu zięje chłonna, mokra przepaść. Piaszczystą kręłą drogą zbaczamy na lewo w kierunku przprawy. Zbudowali ją nasi saperzy w ciągu kilku godzin. Wiadomo, mają wprawę, budowali podobne przprawy przez Bug, Wisłę, Odru, Sprewę, kanał Hohenzollernów. Przysłowie mówi, że „saper i kaczka wody się nie boją”, a my możemy dodać: nawet, jeżeli wokół pękają ainy i pociski, a bomby z przejmującym świstem walą na głowę.

Jest więc most, a jakże, pontonowy, z poręczami i tablicami ostrzegawczymi. Wszystko, jak się patrzy.

Rzeka Hewel pozostaje za nami. Naprzeciwko nam wychodzi jakiś pieszka kolumna. Za chwilę mijamy długi szereg jeńców niemieckich pod ochroną jednego polskiego żołnierza. Konwojent dzikarcko salutuje i uśmiecha się do nas, jakby chciał powiedzieć: Widzicie tych „zdobycówców świata”? Dowojowali się, juchyli!

W szrabie dywizji ruch. Właśnie przyprawdzono z „frontu” nową partię jeńców. Dużo macie tego towaru? — pytamy napokłanych zwiadowców.

— Gdzie tam duży! Załedwie kilkadziesiąt sztuk. Była ich masa, ale pociękali wpływ przez Łabę, do Amerykanów. Boją się nas gorzej, niż diabeł święconej wody. U „Wuja Sama” będzie im lepiej.

— A widzieliście amerykańskich żołnierzy? — pytamy z ciekawości.

No, pewnie — odzywa się wysoki, jasnowłosy sierżant. — Przepływają na nasz brzeg Szukajka, gdzieby co można zamienić. Najwięcej leją na zegarki i szwabskie pistolety.

Patrzmy na siebie porozumiewawczo, rzucamy chłopcom pożełgalne: czelem! — i mkniemy dalej. Już tylko kilka kilometrów dzieli nas od celu wyprawy. Napokłone patrole informują nas, jak daleko do brzegu.

Tu już zaraz, nie będzie kilometra — słyszemy objaśnienie. — Widzicie to miasteczko? Leży nad samą rzeką.

Kierujemy wzrok za wyciągniętą ręką żołnierza. Rzeczywiście, w odległości sześciu kilometrów widać zabudowania miejskie. Dopiero dojeżdżając bliżej spostrzegamy, że domniemane miasteczko, to faktycznie kupa gruzów i kamieni. Ulice zasypane są ceglami i żelastwem zburzonych domów, nasz Dodge z trudem przeciska się wśród tego rumowiska. Nie ma dosłownie ani jednej całej ściany. Widać artylerię i lotnictwo dokładnie wykonywały swoje zadanie. Jak się okazuje, dowództwo amerykańskiej jednostki wojskowej, która dotarła do zachodniego brzegu Łaby przed naszymi oddziałami, zażądało od Niemców w miasteczku kapitulacji. Nie wiadomo z jakiej przyczyny odpowiedzi nie było. Wówczas amerykańskie samoloty i działa tu długo bombardowały miasteczko (podobno trwało to bez przerywu 24 godziny), aż nie pozostał kamień na kamieniu.

Oto czysta robota — zdziwia się nasi artylerzyści. — Podobno Amerykanie wojawali tak, że albo brali miejscowość bez walki (jeżeli Niemcy nie stawiali oporu), albo wszystko do cna burzyli i dopiero wtedy wkracali.

No, tu już wkrócić nie zdążyli — myślę sobie — uprzedzili ich nasi chłopcy z szóstą Kolobrzekiej. Swoją drogą ciekawa metoda zdobywania nieprzyjacielskich terenów. Nie wiadomo, czy starczyłoby Amerykanom pocisków i artylerii, gdyby Niemcy stawiali im taki zacięty opór, jak nam — Rosjanom. W każdym razie jedno jest pewne. Trzeba brć



bogatym wojskiem z Ameryki, żeby sobie pozwolić na takie wydatkowanie materiałów wojennych dla każdego zdobywanego miasteczka. Nas na to nie było stać i dlatego też nasze zwycięstwa musiały być okupione najwyższym bohaterstwem i poświęceniem żywych ludzi, a nie przeważały techniki i sprzętu.

Widocznie moi towarzysze pomyśleli o tym samym, bo posmutnieł jakós i umilkł. Ale wrażenia następowaly po sobie zbyt szybko, abyśmy mogli długo oddawać się refleksjom. Na skraju miasteczka urzeczywistniłyśmy wysoki, leśny brzeg po przeciwnej stronie rzeki. W pierwszej chwili wszystko zlało się w jedną zieloność, zaraz jednak zaczęliśmy odróżniać dymy, snujące się nad zaroślami, a potem kilka gwiazdzystych sztandarów, wyglądających z daleka jak chusteczki do nosa. Minęliśmy wal nadbrzeżny i dopiero wtedy wyloniła się wstęga wody i bliżej, u naszych stóp... Czy to możliwe? Niski, wschodni brzeg Łaby, nasz brzeg, to było istne pobojowisko. Dziesiątki samochodów, porzuconych dział i moździerzy sterczało w piasku. Pod nogami wałaly się niemieckie hełmy, ładownice, maski gazowe, karabiny i granaty. Nawet kocy i piaseczki leżały tu i ówdzie bezładnym kupami. Była tego na niewielekian, może stumilowym odcinku taka masa, że wystarczyłoby na dwa pułki piechoty.

Co się tu stało? Czyżby jakiś magazyn uzbrojenia i umundurowania wyrażono na brzeg rzeki?

Nasze zdziwienie okrzyki przerwał major ze sztabu dywizji, który tu przeprowadzał inspekcję naszych stanowisk.

— Kiedy przyparliśmy Niemców do muru, a właściciele do wody, to ogarnęli takich strach przed polskim wojskiem, że jak barany porzucili wszystko i wpław omykali na drugi brzeg, szukać schronienia u naszych zachodnich sojuszników.

No, oczywiście! — rozjaśniło mi się w głowie. Mają większe zaufanie do anglosasów, aniżeli do Słowian. Wiedzieli, bestie, że my im urlopów świątecznych z obozów dawać nie będziemy.

Gdyśmy tak stali i podziwiali to poniemieckie miemie, od sojuszniczego brzegu odbiła amfibia, pełna żołnierzy i powoli zbliżała się do nas. Po chwili na brzeg wyskoczyli Amerykanie. Jakoś nie bardzo po żołniersku wyglądali. Pomimo, że nasi żołnierze mieli wówczas

mecno sfatygowane mundury, a oni nowe bluzy, solidne sportowe buciki i błyszczące hełmy postawa i wygląd polskiego piechura były znacznie lepsze. Tancerzy wyglądali, jak przebrani po wojskowemu cywile. Podeszliśmy do nich i trochę na migi, a trochę przy pomocy niemieckiego języka zaczęliśmy rozmowę.

Nasz major, wysłużony frontowy oficer, miał na mundurze szereg odznaczeń, między innymi: sowiecki order Czerwonej Gwiazdy, który błyszczał mocniej od pozostałych. Jeden z amerykańskich żołnierzy podszedł do majora i zaczął mu coś gorąco poruszać, przy czym pokazał jakiegoś guzika, secyzoryk, a nawet srebrną papierosnicę. Nie mogliśmy zrozumieć, po co wyciąga te wszystkie świecidełka, o co mu właściwie chodzi? Ostatecznie wyjaś-

niło się, że nasz sojusznik chce kupić od majora jego order Czerwonej Gwiazdy. Bardzo mu na tym zależało i długo nie chciał dać za wygraną. Uśmiełliśmy się sennie. Dopiero po w.c'u perswazjach rozważony i nie nie rozumiejący Amerykanin zrezygnował ze swego po myślu.

Było już po zachodzie słońca, gdy opuściliśmy żołnierzy 16-go Kolobrzskiego pułku piechoty, pełniących straż nad Łabą. Ciągnęliśmy za sobą na kanacie piękną, białą, porzuconą przez szkopów sanitarkę, którą w kilka miesięcy później dowództwo Pierwszej Armii przekazało w darze Zarządów Miasta Warszawy.

MJR NATALIA BAJTNER



FOTO FILM POLSKI

Przeprawa przez rzekę Heusel





## SZKOŁA GOSPODYŃ WIEJSKICH

Niedaleko Łowicza leży niewielka miejscowość — Dąbrowa Zduńska. Tam właśnie mieści się Powiatowa Żeńska Szkoła Rolnicza, jedna z tych szkół, od których istnienia i poziomu zależy stan gospodarczy wsi, a pośrednio — stan gospodarczy Państwa.

Kultura gospodarstw wiejskich jest rzeczą o olbrzymim znaczeniu. Właściwe wykorzystanie każdego skrawka ziemi, właściwe prowadzenie hodowli bydła i drobiu — może nieraz kilkakrotnie podnieść dobrobyt poszczególnych rodzin, a co za tym idzie, i dobrobyt ogólny.

Tej właśnie umiejętności racjonalnego gospodarowania uczą szkoły rolnicze. Przed wojną było ich w Polsce niewiele. Obecnie — wydatki na zawodowe kształ-

cenie rolników zajmują jedno z pierwszych miejsc w budżecie Ministerstwa Oświaty.

Powiatowa Żeńska Szkoła Rolnicza w Dąbrowie Zduńskiej obejmuje wszystkie działy gospodarstwa wiejskiego i zapoznaje z ostatnimi zdobyczami w tej dziedzinie. Teraz, na wiosnę, ruch i ożywienie w szkole są wielkie. Uczennice okopują krzewy w ogrodzie, sadzą, grabią, pielią traskliwie pielęgnowane inspekty. Inż. Wyszomirski, kierownik szkoły, z dumą pokazuje nam wspaniałe okazy buraków cukrowych, wyhodowanych na inspekty. Waga takiego buraka dochodzi do 7,5 kg.

Jedną z najważniejszych pozycji gospodarstwa wiejskiego jest hodowla drobiu. Dotychczas nie bardzo ją u nas doceniało. Przeciętą gospodyni wiejska nie zda-

wała sobie sprawy z korzyści, jakie może jej przynieść umiejętne prowadzenie kur-nika.

W Szkole Rolniczej w Dąbrowie Zduńskiej dziewczęta uczą się fachowego obchodzenia się z drobiem, uczą się o właściwościach rozmaitych gatunków kur, o leghornach, karmazynach i zielononóżkach. O ich karmieniu, krzyżowaniu i zapobieganiu chorobom.

Gdy po roku z jasnych sal internatu szkolnego uczennice z Dąbrowy Zduńskiej powrócą do swoich wsi, zastosują nabyte w szkole wiadomości w życiu praktycznym. Staną się pełnowartościowymi gospodyniami. Zaniedbana, opuszczona polska wieś otrzyma nowe oblicze: zapanują w niej dobrobyt, ład i czystość.



FILM POLSKI — FOTO. DĄBROWIŃSKI





„Leghorny” w Dąbrowie Zduńskiej



Burak, który pokazuje Marysia Mysiówna,  
wazy 7,5 kg.

# ZIELONY CMENTARZ AMAZONKI



Historia kauczuku jest stara, jak ludzka krzywda. Już pierwszy konkwistadorz hiszpańsko-portugalscy, przybyli na kontynent Ameryki Południowej, poznali w dorzeczu Amazonki to osobliwe drzewo, które po nacięciu wydziela kleisty sok, dający się urabiać na gumę, elastyczną masę. Ale konkwistadorzy szukali tylko złota. Osobliwe drzewo kauczukowiciele ich obchodziło. Szybko wynieśli się z nęgośnianych puszc Amazonki.

Dopiero w kilkadziesiąt lat potem, kiedy w dalekim świecie ruszyły pierwsze samochody i samoloty, brazylijskie drzewo „havea”, dostarczające kauczukowej masy, stało się cenne, jak złoto. Całe zastępy poszukiwaczy ruszyły wzdłuż Amazonki. Nie powstrzymały ich ani żółta febra, ani beriberi, ani Indianie Botocudos, ani jadowite węże. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki powstawały ludzkie osiedla, kolonie, faktorie, coraz głębiej i głębiej zapuszczając korzenie w puszcze. Płynęły pieniądze, rosły miasta obłąkane, wspaniałe. W salach, gdzie odbywały się nocne danciny, okna zrywano drogocennym, musującym winem, aktorki z Paryża przyjeżdżały na gościnnie, awanturnicy, uczelni, strażnicy — rzucałi dotychczasowe życie i szli w łasy, by zbierać gęsta, mleczną ciecz. Gdy wracali, w Belem czekali na nich setki spekulantów, kupców, pośredników z całej kuli ziemskiej. W dół rzeki ciągnęły okręty, wozące drogi surowiec. Tysiącem świateł jarzyło się Manaus, bąająca stolica stanu Amazonas.

Kauczuk brazylijski był niezrównany. „Havea” rosła tylko w Brazylii. Kto mógł przypuścić, że złota czasy Amazonas miną tak szybko?

Minej. Chytrzy Anglicy wywieźli podstępnie masę, roślinne sadzonki i zasadzili w swoich koloniach na wschodzie. Warunki klimatyczne okazały się pomyślne. W posiadłościach angielskich na Oceanie Indyjskim i na Pacyfiku powstały olbrzymie plantacje „havey”. Wtedy to przyszedł słynny krach.

Brazylijski kauczuk nie wytrzymał zorganizowanej, stałe ulepszonej produkcji, konkurencji. Nie chciał go kupować nikt, nawet za śmiecie niską cenę. W ciągu kilku zaledwie lat Amazonas upadło nieodwołalnie i ostatecznie. Na opuszczone osiedla weszła z powrotem puszcza. Niezamieszkałe domy powoli marszowały, dając schronienie już tylko dzikim zwierzętom lub trądowatemu włóczędce. Tętniące życiem Manaus stało się wymarłym miastem. Traśmawołe szyny zarosły trawą. Zamknięto na kłódkę opustoszały, olbrzy-

mi gmach opery. Minęły lata. O kauczukowej tragedii ludzie powoli zapomnieli.

Przyszedł rok 1939. Wojna rozpoczęta napędem niemieckim na Polskę objęła wkrótce cały świat.

W wyniku postępów japońskich na Dalekim Wschodzie i Pacyfiku Anglia utraciła swe posiadłości kolonialne, a z nimi — ogromne plantacje kauczuku, dostarczające rocznie dwa miliony ton cennego surowca.

Każdy dzień wojny przynosił milionowe straty. Na nowe czołgi, samoloty, samochody, trzeba było tysięcy ton kauczuku. Wiedzy to przypominano sobie o stanie Amazonas. Oczy aliantów zwróciły się ku Brazylii.

Brazylija przystąpiła do wojny przeciw faszyzmowi. Na apel Anglo-Amerykanów wystawiła dwie armie: jedna udała się do Włoch, druga do puszc Amazonki, po kauczuk. Armia „włoska” po skończonej wojnie wróciła do Rio de Janeiro, wilita owacyjnie przez ludność. Armia kauczukowa — nie wróciła.

Kiedy rząd brazylijski ogłosił ochotnicy weterbunek do eksploatacji kauczuku w dorzeczu Amazonki, obywateli znalazło się wielu. Retrowali się przeważnie ze stanów północnych Ceara, Piahuu, Maranhao, gdzie ludność przywykła do tropikalnego klimatu. Znalazła się również i niezwykła garstka białych emigrantów, którzy zapagnęli kauczukowego arzenała... „Serringeros” mieli przyczynowe wysokie zarobki, opiekę lekarską, umundurowanie, życie, mieszkanie i wszelkie udogodnienia.

W pierwszym okresie rząd dotrzymany przrzeczeli. Każdy „serringero” poddany został badaniu lekarskiemu, otrzymał kombinerson, paczkę żywnościową na drogę, broń, lekarstwa i udawał się na punkt zborny do Belem. Stanął 54-tysięczna armia „serringeros” ruszyła na stątkach w górę Amazonki, do odległego o dwa tysiące kilometrów Manaus.

Początkowo pociągami, potem na tratwach, na mólach, wreszcie pieszo, dotarli podzieleni na grupy serringeros do miejsc niezbadanych, nienaznaczonych na żadnej mapie, w sam środek zielonego piekła, by naciąć drzewa kauczukowe i zbierać kauczukową ciecz, by alianci mogli wygrać wojnę. Raz w miesiącu

przejeżdżali łącznicy, przywołali pocztę i żywność, zabierali kauczuk i uciekali pośpiesznie. Serringeros zostawali w gębi puszczy.

W puszczy jest tysiące zdrad i śmierci czyha za każdym drzewem. Zabójczy, malaryczny klimat odbiera sen i apetyt. Stałe mdości powodują łoszę, febra trzęsie osłabione ciało. Na wąglach „picadach” czają się jaguary. Duszące upstrają zdobywcy bezbraknymi, okrutnymi oczami. W bagnach i rzekach czują na żer aligatory i straszliwe, małe ryby „piranhas”. Niezliczone owady, komary, pajaki, bermy zatrują krew, mącą umysł.

W „rancho”, w lesie, przy pracy ludzie z kauczukowej armii padali jak muchy. Niektórym rozum się mieszał i ci z obłąkanym krzykiem uciekali w las, by stać się lupem jaguara. Niektórzy plakali tylko, zapadali na ową dziwną, nieznaną medycynie chorobę brazylijskiej puszczy, która sprawia, że wszystkie w człowieku jakby umiera, tylko o każdym zachodzie słońca zaczynają po twarzy płynąć izy, bezwolnie i niepowstrzymane.

Na dalekim wschodzie dzięki kauczukowi Japonia została pokonana. W puszczech Amazonki armia „serringeros” zdołała kauczuk, ale sama padła na polu walki. Z Belem wyruszyło na stątkach 54 tysiące ludzi. Dwa dziesiąta trzy tysiące znalazło śmierć na miejscu. Co stało się z resztą? — Nie wiadomo.

O los żołnierzy kauczukowej armii nie ma co pytać. Zginęli, jak zginęli nieznanymi żołnierzom całego świata. Wojna się skończyła. Brytyjskie plantacje kauczuku zostały od-



zyskane. Resztą grzesztano się interesować. Rząd brazylijski nie zatroszczył się o swych obywateli. Zawiódł ich w puszcze i zapomniał o nich. Sami, o własnych siłach, nie wydosłano się stamtąd, jeżeli żyją jeszcze... Może dzieściciu, może pięćciu, zdoła przedrzeć się przez puszcze, jeśli sprzyjać im będzie szczęście. W zapadłych osadach można spotkać takiego „szczęśliwca”, żebrzącego obłąkańca, zarte-go przez wrzody i chorobę...

W Belem do Para, w najlegantszej dzielnicy miasta, powstało kilka nowych domów handlowych, które na kauczuku zrobily fortuny. Żołnierze armii kauczukowej, armii, która nie wróciła, leżą na zielonym cmentarzu Amazonki.

W Belem do Para, w najlegantszej dzielnicy miasta, powstało kilka nowych domów handlowych, które na kauczuku zrobily fortuny. Żołnierze armii kauczukowej, armii, która nie wróciła, leżą na zielonym cmentarzu Amazonki.

JERZY ŚLADKOWSKI



Paco marzy o chwili, gdy znajdzie się w gębi puszczy

Młodość Jose'go uśmiecha się do przypadku

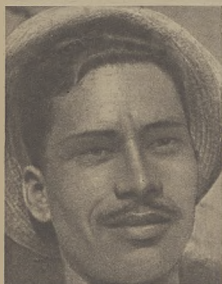
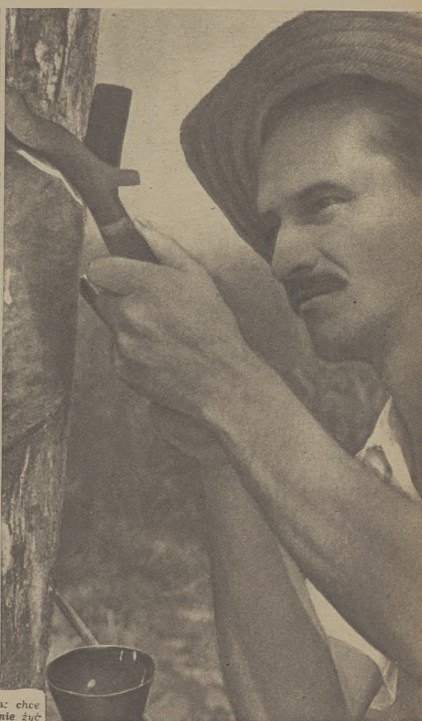




W drodze do puszczy



W walce z aligatorem



Pedrinho zostawił w małej osadzie starą matkę

Blasco jest człowiekiem praktycznym: chce dorobić się majątku, by móc spokojnie żyć



# JAK POWSTAJE SERWIS KRYSZTAŁOWY



Jest ona inna, niż dla zwykłego szkła, gdyż pasek do niej używany nie może być zanieczyszczony żelazem. Dodaje się do niej otowitru i innych składników, będących nieraz przemysłowym sekretem firmy.

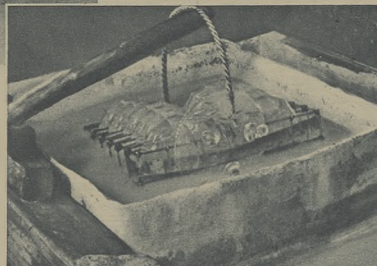
Roztopioną masę naczepuje na koniec dmuchawcy hutnika i z niezrównaną zręcznością z małego balonika wydyma naczynie o wymiślnych nieraz kształtach.

Wszystkie te przyzłe kieliszki, szklanki, kompoterki, wazonny itp. zaledwie z grubszą przypominają to, czym mają się stać. Trzeba je oszlifować, wyrównać chropowatość brzegów i nożek, zrobić z bańki naczynie z pokrywką przez umiejętnie przepołowienie jej itd. Odbywa się to na tarczach żelaznych lub kamiennych, przy użyciu piasku karborundowego. Praca ta jest szczególnie niebezpieczna dla oczu, śródpryski szkła niejednego szlifiera już potrawiły wzroku. Cóż, mimo to szlifiera nie chcą używać okularów ochronnych.

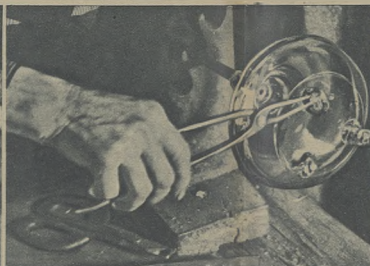
da moc rozpuszczania szkła. Naczynia uchłada się w miedzianych koszykach i prznosi do kwasiami, gdzie specjalny robotnik, ubrany w gumowy fartuch i sięgająca ramię takiej rękawice, dozaruje tego procesu. Naczynie przebywa w kwasie od 15 do 20 minut. W tym czasie wierzchnia jego warstewka, zawierająca różne zanieczyszczenia, rozpuszcza się o to otrzymujemy piękny, przejrzysty kryształ.

Praca przy tak szcym kwasie jest bardzo niezdrowa i choć robotnik jest zabezpieczony przed poparzeniami, to jednak nie ma sposobu, żeby zabezpieczyć go przed wdychaniem oparów kwasu. Z kwasami nie go unyćcia woda dzie naczynia wędrują do sortowni, gdzie są bardzo sumiennie badane, czy nie zawierają defektów czy szkaz.

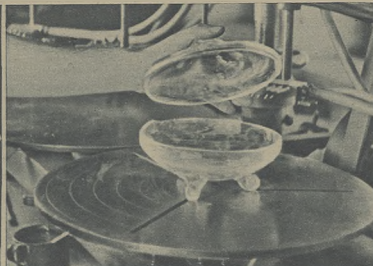
Nie wszystkie naczynia przechodzą wspomnianą przez mnie drogę. Są np. naczynia, obecnie zresztą wyrabiane rzadko, gdzie pracę kuglera zastępuje praca malarza. Zamiat



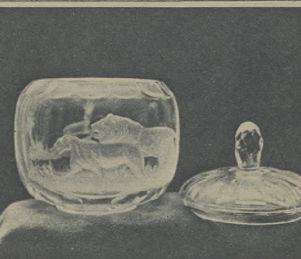
Kapiel w kwasie nadaje kryształowi przezroczystość.



Obcinanie nożek



Na tarczy oddziela się z naczynia pokrętkę.



**J**EŻELI spytamy zlenascka różnych ludzi co wiedzą o kryształach, to każdy z nich powie co innego. Chemik bōdnie mówił o cudownych właściwościach różnych etal, które w roztworach nasyconych tworzą regularne geometrycznie piękne formy, czyli kryształują się. Kupiec spożywczy powie o worku cukru kryształowego, a kobieta — powie o serwisie kryształowym, o delikatnym dźwięku kieliszków i szklanek, o wymyślnych nacieczach i szlifach kompoterek, waz i flakonów.

Wprawdzie nie jestem kobietą, ale lubię kryształowe naczynia i znalazłszy się w pobliżu huty, w której te cuda się wyrabia, skorzastałem za sposobności zapoznania się z metodami ich produkcji.

W Polsce przed wojną kryształy wyrabiano tylko w Piotrkowie i w Dąbrowie Górniczej. Obecnie, po przyłączeniu Dolnego Śląska, nasz przemysł szklany powiększył się o trzydziści hut, w tym kilka hut wyrabiających szkło kryształowe. W Karkonoszach tradycje hutnicze sięgają aż dwunastego wieku. Dawniej huty ogalano drzewem, a w górach łatwo było o opał. Gdy już wszystkie drzewa w jednej miejscowości wycięto, huta przenosiła się do

Huta „Józefina” w Sokarskiej Porębie posiada też bardzo dawne tradycje. Obecne jej budynki zostały postawione w 1844 r. Huta należała wraz z innymi obiektami przemysłowymi i terenami do magnata dolnośląskiego, hrabiego Schaffkotscha. Polskie władze objęły hute w lipcu 1945 r. a już na początku 1946 r. została uruchomiona.

Na początku jest, jak w każdej hucie szklanej, piec, w którym w wielkich donicach z szmatowej gliny rozpuszcza się masa szklana



Gdy już naczynia uzyskały swój definitywny kształt, idą do kreslarni, gdzie wykresła się na nich czarnym lakiernym wzory. Każde przyszłe nacięcie oznacza się tu kreską. Z kolei naczynie wędruje do tak zwanej kuglarni, gdzie nacięcia zostają wykonane. Praca w kuglarni jest pracą wysoko kwalifikowaną, wymaga długiej specjalizacji i pewnej ręki. Nie łatwiejszego bowiem, jak zepnąć kruche naczynie. Z tych pewnie względów panuje w kuglarni bardzo ścisły podział pracy i cał w rodzaju fordowskiej taśmy. Każdy kugler wykonywa sobie tylko właściwy rodzaj nacięć. W ten sposób jedno naczynie o kilku tysiącach nacięć powstaje na skutek pracy kilkudziesięciu ludzi. Do każdego rodzaju nacięć służy od dzielna tarcza czy tarczka z karborundu, który — jedyny — zboli szkła.

Gdy wreszcie naczynie przeszło przez wszystkie ręce i posiada tyle nacięć, i w takiej ułożonych desenie, jak tego sobie życzył projektodawca, jest ono już kryształem, ale jeszcze niezbyt pięknym. Praca kuglerów dała im wszystkie wzory, ale zarazem zmatowiała je. Żeby te zmatowienia usunąć, żeby nadać kryształowi tę przejrzystość, z jakiej słynie, trzeba go wykapać w kwasie fluoro-wodorowym, który — jedyny ze wszystkich kwasów — posia

nacięć powstają na ścianach i podstawkach naczynia obrazy malowane specjalną emalią. Ta technika, jak i technika wyrabiania szkła dwubarwnego zostaje zarchiwizowana, gdyż największym powodzeniem cieszą się obecnie kryształy przezroczyste.

Obrazy na szkłe nie malowane, lecz rzeźbione, to najwyższy szczyt kunsztu. Zajmuje się tym tak zwany grawer, artysta-wirtuoz w swoim zawodzie. Jego pracownia przypomina gabinet dentystry, ale dentysty, który leczy zęby co najmniej mamułów. Narzędzia, którymi obrabia on powierzchnię szkła, przypominają bowiem ogromnie powiększone narzędzia dentystry. Przy pomocy tych narzędzi grawer tworzy na delikatnych ściankach kielicha czy innego naczynia całe sceny myśliwskie, postacie zwierząt i ptaków, krajobrazy, kwiaty, sceny klasyczne itp. Zrobienie napisu pamiątkowego na pucharze, przeznaczonym dla zwycięzcy w zawodach sportowych, to dla niego fraszka. Grawer to mistrz między szlifierzami i kuglerami. Zajmuje on najwyższe stanowisko w hierarchii pracowników huty kryształowej.

Jeszcze innym rodzajem techniki jest inkrostowanie kryształu metalem, przeważnie srebrnem, i stapianie go przy pomocy specjalnej techniki w jedną całość ze szkłem.





8 maja 1945 roku Niemcy w Reims podpisały akt kapitulacji wobec mocarstw zachodnich. Dzień później, 9 maja 1945 roku Niemcy w Berlinie uczyniły to samo wobec Z. S. R. R. W ten sposób zakończona zostawa w Europie druga wojna światowa. Dziesiątki milionów wygłodzonych ludzi uwolnionych z niemieckich obozów śmierci potrzebowało natychmiastowej pomocy. Dziesiątki milionów dzieci, zagrożonych gruźlicą, potrzebowało pomocy. Dziesiątki tysięcy zburzonych miast potrzebowało rąk do odbudowy. Niemcy bowiem zburzyli Europę od Cherbourga aż do — Wołgi.

Podczas długich lat wojny Europa marzyła o pokoju. Ale 8 i 9 maja przyniosły koniec wojny w Europie. Do początku prawdziwego pokoju było jeszcze daleko — i wciąż jest jeszcze daleko, nawet dziś, po dwu latach stanu pokojowego.

Prawda, uchroniono pozostałych przy życiu więźniów przed komorą gazową. Zorganizowano pomoc dla najbardziej zniszczonych krajów. Rozpoczęto proces odbudowy w szeregu krajów Europy. Powstają domy, dymią fabryki, ruszają lokomotywy i statki. Ale prawdziwego pokoju — wbrew licznym konferencjom, zrywającym się „pokojowymi” wciąż jeszcze nie ma. Okazało się, że stworzenie pokoju jest rzeczą trudną. Zwycięskie mocarstwa nie mogą jak dotąd uzgodnić swego stanowiska wobec pobitych Niemiec. Mocarstwa anglosaskie, oparte na systemie kapitalistycznym, pragną jak najszybszej odbudowy Niemiec, gdyż spro-



Keitel podpisuje akt bezwarunkowej kapitulacji Niemiec.

ces odbudowy pochłonie ich nadprodukcję przemysłową i zażegną grożący im kryzys gospodarczy. Państwa europejskie chcą co prawda współpracować z demokratycznymi Niemcami, ale żądają odpowiedniej — gospodarczej, politycznej i terytorialnej — gwarancji, że nigdy już naród niemiecki nie wzmiesze w sercu Europy krematorów i nie będzie — w wieku XX, chlubiącym się swoją kulturą i cywilizacją — gazował w nich ludzi. Drugą trudnością w stworzeniu pokoju są obudzone apetyty imperialistyczne mocarstw kapitalistycznych i przeciwstawiające się im ruchy wyzwoleńcze ludów kolonialnych. Narody kolonialne pochłubić się mogą w ciągu dwóch lat pokoju wielkimi sukcesami: Indie Holenderskie uzyskują równouprawnienie z krajem macierzystym, Indie Brytyjskie stoją u progu swej niepodległości, budzi się świadomość narodowa na Malajach, w Burmie, w państwach arabskich. Nie wiele zdziałają tu zapędy amerykańskich kół wojskowych, prących do zbrojnego opanowania świata i uczynienia go wielkim rynkiem zbytu dla amerykańskiego produktu. Historii cofnąć się nie da. W przyszłości nie będzie narodów panów i narodów niewolników, narodów producentów i narodów wyzyskiwanych konsumentów, narodów-fabrykantów i narodów-robotników. W przyszłości narody muszą żyć jednako i mieć jedną kulturę, o ile oczywiście myślimy poważnie o kulturze i o człowieku.

Druga wojna światowa nie zakończyła się w Europie. Zakończyła się w Japonii zrzućciem bomby atomowej na dwa japońskie miasta przemysłowe, które — wskutek wybuchu — przestały istnieć. Eksperci zgodnie podkreślają, że wyzwolone zostały w ten sposób siły, zdolne zniszczyć człowieka i jego kulturę, więcej, zdolne, zniszczyć wszelkie życie na ziemi. I to jest trzecia trudność w utrwaleniu po-

koju, gdyż świat żyje pod psychozą trzeciej wojny, wojny, która będzie ostatnią, wojny, po której nie zostanie to, co nazywamy — z pewną dumą — cywilizacją i kulturą.

Nie tedy dziwnego, że dwa lata pokoju były bardzo niespokojne, że obok głosów katastrofistów prorokujących zagładę człowieka, obok militarystów i kapitalistów, usiłujących zdyskontować na swoją korzyść niepewność świata, pojawiają się zdrowe, słuszne reakcje u ludzi i narodów, wierzących w pokój i nowożyjących do jedności świata, a przez to do dobrobytu i szczęścia człowieka.

Piszemy o tych znanych rzeczach po to, aby czytelnik nauczył się po powierzchni cotygodniowych nowin i codziennych komunikatów odczuwać głębię wydarzeń, ich nurt — jeśli się można tak wyrazić — podziemie. Żeby zrozumiał, że drobne, pospolite wydarzenia układają się w dzieje świata. Że kiedy prof. Harold Lasky, członek angielskiej Partii Pracy, powie ironicznie, iż U. S. A. uczyniły z Japonii czterdziesty dziewiąty stan, a z Anglii chcą czynić pięćdziesiąty, to nie jest to tylko dowcip, ale głęboka obawa wielu milionów ludzi przed imperializmem, prowadzącym nieuchronnie do wojny. Że kiedy komentator angielskiego pisma napisze kosztownie, iż prasa połudn.-afrykańska nie zamieszcza zdjęć pary królewskiej, która w podróży po Afryce Południowej styka się z murzynami, to nie jest to antymonarchistyczny wybryk, ale głęboka nienawiść przeciw rasizmowi, pleniącemu się w tym kraju. Trzeba pojąć, że kiedy prof. Jolliot oświadczył, iż Francja posiada energię atomową dla celów pokojowych, a nie wojennych i że do wyrobu bomby atomowej nie przyłożył ręki żaden francuski uczony, to nie jest to objaw złego humoru Francuza, ale głęboka troska o los świata, współ-



Profesor Harold Lasky



Słynni uczeni, małżonkowie Joliot-Curie.



Eksplozja w mieście Texas.



Wysadzenie w powietrze wyspy Helgoland

na wszystkim ludziom, „milującym pokój”. I może wtedy łatwiej ustalić można będzie hierarchię wydarzeń i łatwiej ocenimy owe dwa lata, które dzielą nas od zakończenia wojny.

Będziemy wprawdzie współczuć głęboko ofiarom wybuchu w mieście Texas w Ameryce i niepokoić się z tego powodu, że nie cały Helgoland wyleciał w powietrze, ale nie staniemy się pesymistami z powodu trudności, na które napotkała konferencja w Moskwie i nie stracimy sympatii do Hindusów, tworzących w trudzie własne, niepodległe państwo. Należy bowiem myśleć o świecie, jako o jednej, niepodzielnej całości i patrzeć w przyszłość nie na lata, ale na dziesiątki i setki lat.



Hindusi obradują





Marjorie Kinnan Rawlings

# Kocznik

Przekład autoryzowany Adama Galisa. 11)

## ROZDZIAŁ 8.

Jody przymknął furtkę. W powietrzu unosił się niekomyjny zapach zamrożonego mięsa. Jody obiegł dom dookoła. Uczucie niechęci walczyło z nim o lepsze z ochotą. Nie zatrzymał się jednak przy otwartych drzwiach kuchennych, pośpieszył do ojca. Penny wyszedł na próg wędzarni i powiedział szna.

Jody ujrzał prawdę, która sprawiła mu równocześnie przykrość i zadowolenie. Wielką skóra jelenia wisiała na ścianie wędzarni. Zwrócił się z wyrazem do ojca: — Nie poczekałeś na mięle z polowaniem! — tupnął nogą. — Już następnym razem nie zgodzę się, żebyś mnie zostawiał samego.

— Spokojnie, synku! — Posiuchaj wpięro co ci opowiem. Będzieś zadowolony, że tak się rzecz ułożyła.

Rozżalenie Jodego ostrygło. Górę wzięła ciekawość.

— No to powiedz tato, przedko, jak to było?...

Penny uśmieł po turecku na piasku. Jody wyciągnął się na ziemi obok ojca.

— Był to samiec. Amal na niego nie wpadłem.

Jodego znów opanovała fala gniewu.

— A nie mógł ten jeleni poczekać aż wrócę do domu!

— Chyba nie nudziłeś się u Forresterów? Nieładnie być takimi zachlamiannym. Łowić dwie ryby na jedną wędkę...

— A właśnie, że mógł poczekać! — powtarzał Jody uparcie. Czasu nigdy nie jest za wiele. Złżył szybko upływa.

Penny roześmiał się.

— Na to nie ma rady. Jeszcze się taki nie urodził, który potrafił zatrzymać czas w biegu.

— Czy jeleni uciekał, tato?

— Otwóć właśnie to chlebałem opowiedzieć. Pierwszy raz w życiu zdarzył mi się żeby zwierzę stało bez ruchu na drodze, naprzeciwie się o strzał. Jeleni był jak skamielina. Nawet nie raczył zwrócić uwagi na kocha.

W pierwszej chwili myślał sobie, do kaku! — taka mi gratka nadarza się, a jak na złość, nie mam ładunków do nowej dubel.

Tłoczył jakąś myślą przedławienie strzał. Był zagładam od tyłu w luży, patrzeć, wielkie nieba! Powinienem był przecieć pamiętać, że

Forresterowie mają zawsze broń nabitą, na podorzędu. Dwa ładunki tkwiły w zarszku, a jeleni wciąż stoi sobie, jak by przyszedł do ziemi i czeka. Złżyłem się. Wystrzeliłem. Runął jak wór maki. Wciągnąłem go na Czara i posłałem do domu. A powiem ci jeszcze coś sobie myślał w duszy: —Jeśli przyniosę taką zdobycz — pomyślałem — to mamie nijakó będzie gniewać się, że zostawiam cię u Forresterów...

— A co mama powiedziała, kiedy zobaczyła strażbę i jelenia?

— Powiedziała tak: gdyby to był kto inny, a nie taki uczciwy wariat jak ty, przystępnym, że to kradzione.

Zachichotał. Z kuchni płynęły rozkoszne zapachy. Wziął u Forresterów pozosta w nie-pamięć. Jedyne z czym warto było myśleć, to bliki obiad. Jody wsunął się do kuchni.

— Dzień dobry mam, wróciłem.

— Włęc co z tego, mam śmiać się czy płakać?

Matka pochyliła tęga postać nad kuchnią. Działo był upalny, a pot ciurkiem ściekał po tustym kartku Ma Baxter.

— Takto ustrzeżł nam coś dobrego, prawda mam?

— Tak. I to dobre jeszcze, że ciebie przy tym nie było.

— Mammo...

— Co znnowu?

— Czy będziemy mieli dziś na obiad jelenie mięso?

Odwrociła się od ognia.

— Na miłość boską, czy ty zawsze musisz myśleć tylko o swym pustym kakułnie?

— Ho ty tak właśnie gotujesz dziczyznę.

Udofuchowała się.

— Tak, będziemy mieli mięso na obiad. Balam się, że może się zepsuć, bo gorąco dziś.

— Prawda! I wdroby też nie powino się odkadać, bo gotowa się zepsuć.

— Zmniuj się chłopca, przecieś nie może my zjeść całego jelenia na raz. Ale jeżeli napakiesz mi dziś skrzyżnię na opal, to kto wie, może wdroba będzie na kolację...

Jody wlał między naczynia kuchenne.

— Wynasł się w tej chwili mężczyzdu? Jak mnie zamoczył to tak będzie obiad gotow! — krzyknęła Ma.

— Jahym ugrolow!

— Tak, ty, z paami do apółki! Wybiegł z domu i odszukał ojca.

— Jak się czuje stara Julia? Wydawało mo się, że chyba od tygodnia nie był w domu.

— Lesple! Teraz niech sobie zmięnąc odpocznie, a do potem radę Siewfootowi.

— Tato, czy Forresterowie chcą nam pomóc w polowaniu na Siewfoota?

— Nie zawieraliśmy umowy. Szczerze mówię, wolałbym, żeby sobie polowali w własną rękę, a mnie dał święty spokój. Nie wiele mnie obchodził kto go w końcu ubije, byle by niedźwiedziako trzymał się zdala od naszej trzody.

— Tato, a nie mówięm ci jeszcze o tym. Miałem wtedy pietra, kiedy psy z nim walczyły. Taki mnie strach obieciał, że nie mogłem się ruszyć z miejsca i uciec.

— I ja nie tego czulem się wówczas, kiedy fusja zawiodła.

— Aleś opowiadał Forresterom tak, jak gdybyśmy byli nieustraszeni.

— Tak, synku, tak to już się po myślowku opowiada.

Jody obejrzał dokładnia skórę jelenia. Była duża i piękna, o czerwonejwaj barwie włośnemej. Zwróciła z puszczy wydawały się Jodymu chwoniłymi odmiannymi rodzajami zwierząt. Na polowaniu były po prostu hepen myślowkami. Pragnął jedynie widzieć jak padają, martwe, zbroczone krwią, było mu ich żal. Serce bolało na widok marniej śmierci, lecz gdy były podcięte na części, suszone, pociośe i wieszane, albo ugrolowane i upieczone w pachnącej kuchni czy na rozżarzone nad ognikiem w polu, stawały się mięsem ot, takim samym jak wieprzowina i tylko śilinka szła czelkowi do ust. Dzwili się niekiedy, jakim cudem odbywa się ta przemiana. Jak to się dzieje, że to samo, co go przed godziną gnioło w dołku i przyparowało o mełochu do pewnym czasie, budziło potężny spęty. Wynikało stąd jak na dłoni, że albo były to dwa odmienne rodzaje zwierząt, albo dwa imi chłopy...

Tylko który nie zmieniał się, zachowywały swoje samolaste życie. Kiedykolwiek stawały bosymi nogami na miękkiej skórze jeleniej, ledźniej przed łóżkiem, spożywały się w głębi duszy, że za chwiległko poruszysz się pod nim. Łaczyła się z tym jeszcze jedna sprawa. Otwó Penny, aczkolwiek niewielkie, go wzrostu, miał pierś gorąwą gęstym, czarnym włosom. Jako dziecko sypiał podobno zimą nago owinięty w niedźwiedzią skórę, grzejąc wielkim kotrem. Ma Baxter marowała, że od tego właśnie wyrosły Pennyemu kłoki na pierści. Podstrzywała sobie, ale Jody brał to na pół serio.

Dom był tak obficie zapatrzonny, jak u Forresterów. Ma Baxter przerobiła tuszę macorty, zabitej przez Siewfoota, na wędliny i kiełbasy. Należało jejita właśnie tędnem wędzarni. Trząskę pod niebem, dawał swój wygłęb ławeczka. Penny wsiadł i dorzucił garść wdrow w dymiący żar.

— Czy mam narząb drow, czy ekończyć okopywanie kukurydzy? — zapytał Jody.

— Wolne żarty, wiesz przecieś, że nie mogę pozwolić na to, by chwasty zarosły pole. Skończyć okopywanie. Raczej przydałoby się drow.

Jody zadowolony był z nadarzającej się pracy w drewnalni. Bowien, gdy chwiległko stał bezczynnie, już mu głód skrepał kiszki i zmuszał do żucia mięsa aligatora, przemażonego dła psów, albo do pochłaniania kurom resztek kukurydzianego chleba.

W skupieniu rozkopywał siekierę i zabrał się do roboty. Był miśł pozór do zerknięcia, jak się przedtawia sprawa obiadu, zaniósł matce do kuchni swoje narzęcie drow. Ciężar spał mu z serca, kiedy zobaczył, że obiad jest na stole. Matka zaparała kawę.

— Poprosz ojca — powiedziała — i umyj potworne łapy. Jestem pewna, żeś nie lknął wody od chwili gdy wyszedł wczoraj z domu.

Narzęcie Penny przyszedł. Udzić jeleni zajmował honorowe miejsce pośredku stołu. Penny dobył wielkiego noża i polowalnym ruchem, który doprowadził Jodego do rozpaczy, pokrajał i rozdzielił mięso. e.d.n.





Wybitny satyryk rosyjski M. E. Saltykow (pseudonim N. Szczedrin) urodził się w r. 1826.

W latach 1847—48 ukazały się pierwsze jego powieści „Sprzeciwni” i „Pogmatwana sprawa”, w których autor występuje przeciwko nierówności społecznej, deklarując się zdecydowanie po stronie ludzi pracy.

Szczególnie ostrym pamphletem na władze carskiej Rosji jest „Historia pewnego miasta”, w której Saltykow-Szczedrin rysuje galerię władców miasta Głupowa.

Książka „Zagranicą”, której fragment dzisiaj drukujemy, przedstawia współczesnego Saltykowi bismarckowskie Niemcy (po wojnie francusko-pruskiej 1870—71 r.) jako wcielenie wojującego militarysty. Saltykow wyśmiewa w niej tępą butą i pruskie wojenne ideały.



(nie może przecież nie być ruchu w mieście o milionowej prawie ludności), lecz jest to jakiś niespokojny, wymęczony ruch, jak gdyby wszystkim tym poruszającym się tam i z powrotem ludziom śmiertelnie chciało się dokąść do uciec. Za każdym odjeżdżającym ekwipażem chce się zawałać: „Szczęściarzu, zostawiasz Berlin już na zawsze!” Ani zgłębku, przypominającego pszczeni ul (taki zgłębku, stawsze się niekiedy w uzdrowiskach, a zawsze w Paryżu), ani tego żywego związku między ulicą i okalającymi ją domami, który tworzy z nich jakby nierozrwalną całość — tego wszystkiego nie ma. Tyłko nieprzerwany, milczący, jednostajny ruch — i nic więcej...

Odpowiednio do ulic, i sklepy berlińskie wyglądają poepnie, choć jest wśród nich spora ilość obszernych i zawalonych towarem. To raczej składy niż sklepy. Może i znajdziesz w nich coś odpowiedniego, ale nawet zajrzeć się do nich nie chce, gdyż zanim do伯ierzysz się do rzeczy odpowiednich, (a spytajcie jakieś damulki, czy ona wie, co jest dla niej „odpowiednie”), napewno przedtem sto razy przekleńiesz dzień swoich urodzin...

W Berlinie można kupić koldrę, ale nie do okrywania pościeli w dzień, można kupić gumowa piłkę, lecz tylko dla dzieci ubogich rodziców, można wkocnąć kupić kielbase, ale nie taką, żeby można nią było poczęstować ludzi, którym się do brze żyć, lecz taką, którą można od biedy zjeść samemu, przy zamkniętych drzwiach, a gdy bole żołądka przemają — zapomnieć...

Ale najbardziej przygniatającym elementem ulicznego życia w Berlinie są wojskowi. W porównaniu z Petersburgiem, wojskowy garnizon Berlina nie jest o wiele liczniejszy, ale czy ciała pruskie oficerów są większe, czy piersi ich obszerniejsze, dość, że robi się dosłownie ciasto, gdy przez ulicę przechodzi pruski oficer. Ubrany jest jakoś dziwnie, jego umundurowanie przypomina nasze wojskowe surduuty i czapki lat czterdziestych, pierś wypięta kulicą, wasy zakręcone w kółeczko... Idzie rumiany, tegi, zadowolony, jakby tylko co otrzymał pensję, co mu, nawiasem mówiąc, wcale nie przeszkadza odnosić się do bliźnich surowo i popędliwie...

Hećroć przechodzą koło berlińskiego oficera, zawsze się detonuje. Także w Ba-

den-Baden czy w Ems robiło mi się straszno, gdy sprowadzano do zakładu zdrojowego z Rasztatu albo Koblenckiej kilkudziesięciu oficerów, ażeby sprawić przyjemność a les dames. Nie datero straszno, jakobym bał się, że oficer zawezwie stójkowo, ale dlatego, że całą swoją postawą, zachowaniem się, wypiętą pierśią, wygolonym podbródkiem klui mnie w oczy: „Ja — bohater!” Zdaje mi się, że gdyby zamiast tego powiedział do mnie: „Jestem bandyta i zaraz cię zaczne obdzierać ze skóry” — bylo by mi lżej. Ale „bohater” to przecie nie żarty... Niech sobie bohaterowie rozmawiają między sobą i niech się denerwują zachycwa drugim, niech czytają Plutarcha, przypominają sobie anegdoty z życia starożytnych i nowych bohaterów i w ogóle podyscują w sobie chęć do zniszczenia „odwiecznego wroga” (a któż nie jest dziś „odwiecznym” wrogiem w oczach pruskiego oficera!). Ale niech nie pokazują się w dzień na ulicy, niech mnie, spokojnemu i skromnemu kielbasnikowi, nie przypominają ciągle o tym, że mogą każdej chwili zginąć, jak robak, jeśli nie będzie mnie strzegło czujne oko jego — bohatera!

Nasz rosyjski oficer nigdy nie robił na mnie tak przygnębiającego wrażenia. Przede wszystkim, ma mniejszą objętość i nie ma takich piersi, po drugie stanowczo nikogo nie kluje w oczy: „Ja bohater!” Rosjanin zdolny jest do prawdziwego bohaterstwa, ale to mu nie wypina piersi ani nie zmusza go do wytrzeszczania oczu. On traktuje bohaterstwo bez poufałości i jasno rozumie, że to wcale nie taka pospolita rzecz, którą można zawsze ze sobą nosić razem z resztą uzbrojenia. W przeciwieństwie do tego, Prusak jest pewny, że skoro go już, z rozkazu dowódtwa, zaliczono między bohaterów, skoro wzniesiono mu pomnik na Placu Królewskim, to musi godnie obnosić ten tytuł nie tylko na ulicach, ale i w ogródkach kabaretowych. Jasne, że zwykłych ludzi to krepuje.

Może dlatego właśnie berlińska zabawa ma tak nieszczyry, poepny charakter. Jak tu się szczerze bawić, kiedy tuż obok nas sterczy „bohater”, który — tylko czekać — zacznie perorować na temat Wrota albo Sedanu? A nie bawić się — nie wolno. Po pierwsze, współczesny berlińczyk jest nazbyt zbalamucony opowiadaniami o ucieskach Paryża, aby nie spróbował zaprowadzić u siebie czegoś na paryską modłę. Po drugie, jeżeli nie będzie się cieszył, to czy nie powie o nim Europa: o! przemierzaj z mieczem i ogniem pół cywilizowanego świata, a pozostał tym samym tepogłowym berlińczykiem. A po trzecie, czyż nie zapytają i sami „bohaterowie”: Jak to? Zarzuciliśmy was laurami, a wciąż chodzicie jak zaspani — czyżby trzeba było zniszczyć jeszcze jakiś kraj, ażeby was rozbudzić? I oto berlińczyk zaczyna się bawić.

Jednym słowem, pytanie: do czego potrzebny jest Berlin? — okazuje się wcale nie tak blahe, jakby to się na pierwszy rzut oka wydawało. Ale i odpowiedź nie jest zbyt trudna, gdyż cała istota współczesnego Berlina, całe jego światowe znaczenie ześrodkowuje się obecnie w gmachu, który widać z perspektywy Placu Królewskiego i który nosi nazwę: Sztab Generalny.

(\*) Miejscowości znane z wojny prusko-francuskiej — 1870 roku.

W jednym z niezliczonych hoteli w Niemczech jadłem kiedyś obiad w dużej kompani Rosjan. Siedziałem na samym skrajku stołu, a obok mnie ułokował się jakiś nieznamy młodzieniec...

Między Rosjanami toczyła się ożywiona dyskusja na temat: do czego właściwie potrzebny jest Berlin (wielu twierdziło, że do zabijania ludzi). W pewnej chwili podałem mojemu bliźniowemu sąsiadowi jakąś potrawę. I niespodzianie, w odpowiedzi na moją uprzejmość, usłyszałem od niego po rosyjsku:

— Dziekuje panu!

Było to dla mnie tak nieoczekiwane, że zawałem omalże w przerażeniu:

— A jednak, bracie, ty... skąd to do pana, mein herr!

Na co młodzieniec, wcale nie zmieszany, skromnie odpowiedział:

— Ja żołnierz, my uf Berlin troszku uczym po rosyjsku... na wszelak wypadek!

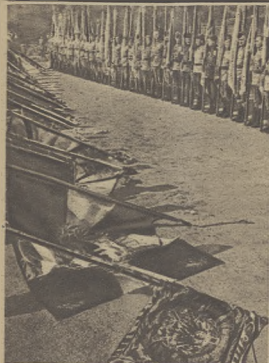
O! w czym rzecz...

Rozumie się, że nie omieszkałem tego powtórzyć moim towarzyszym podróżny, którzy stanęli na stanowisku, że jest to jeszcze jeden dowód, potwierdzający tylko co powziętą decyzję: tak, Berlin nie jest potrzebny do niczego więcej, jak tylko do zabijania ludzi...

Dzisiaj za wszystkich sympatycznych cech pozostała Berlinowi tylko jedna, najmniej sympatyczna: ból głowy, który ołowiana chmura ciąży nad miastem. Wszystkie inne zmieniło się radykalnie. Niemiałość ustąpiła miejsca zarumianłości, polityczny oportunizm — naszym nieusprawiedliwionym pretensjom do panowania nad światem, skromność — nierofortunnej chęci zaimponowania cudzoziemcom mieszcząskim zbytkiem nowych dzielnic i jakąś pośledniego gatunku rozpuata, której szkaradny czynizm na próżno stara się zamąć ładny i błyskotliwy czynizm paryski. Już podjeżdżając do Berlina, cudzoziemiec czuje, że powiało na niego nudą i oficerską zarumianłością. A ponieważ ani jedno, ani drugie nie ma w sobie nic pociągającego, podróżni spieszą do pierwszego lepszego hotelu, żeby się oczyścić i wyspać, po czym wcale nie zwlekając jedzie dalej.

Trudno wyobrazić sobie coś bardziej ponurego, aniżeli ulice Berlina. Na brak ruchu, oczywiście, skarżyć się nie można

# BERLIN ZWYCIEŻONY



EMPELHOFF mieści się na południu miasta. Karlhorst, cel naszej podróży — we wschodniej części. Przejedźmy spory kawał Berlina. Szczególnie interesujący jest widok Berlina dla tych, którzy go jeszcze nie widzieli po naszym zwycięstwie — dla amerykańskich i angielskich delegatów. Gdzieś tam jeszcze nie ugaszono pożarów. Z niektórych wejść do metro — z nieopornych, standardyzowanych stacyj — wydobywa się dym. Miejscami szyny metro wychodzą na powierzchnię i biegną dalej, podparte żelaznymi słupami, na poziomie czwartego piętra. Z tej naddziemnej linii po zostały tylko fragmenty.

Delegaci niemieccy nie utrzymali się w przybranej na lotnisku pozie monumentalnego spokoju. Przyłgnęli do szyb samochodowych. Widzą obrzydliwie zwałiska ruin. Widzą berlińczyków, uprzężających jeźdźce z cegieł i gruzu. Oto kilku Niemców grzebie w ruinach sklepa pod firmą „Delikatessy“ i nieustannie wsuwa coś w kieszenie i koszyki. Może w tej chwili generał-feldmarszałek Keitel myśli o swoim niedawno wydanym rozkazie, w którym pisał: „W ewakuowanych dzielnicach Niemiec, zawartych w strefie działań wojennych, żołnierze niemieccy, winni najcięższych przestępstw w stosunku do mienia niemieckich współobywateli... Maruderstwo i przestępstwa wobec własnych niemieckich współobywateli podlegają karaniu najsurowszymi środkami. Tylko w wyjątkowych wypadkach nie będzie stosowana kara śmierci!”

Jedziemy długą i szeroką Skalitzerstrasse wzdłuż linii miejskiej kolei żelaznej. Biegnie ona nad miastem na wysokości siedmiu metrów. Sznur maszyn długim, lakierowanym węzłem wije się między jej powalonymi słupami.

Przebywamy wąską, brudną Szprewę mostem, którego Niemcy nie zdążyli wysadzić.

Hertnerstrasse. I tutaj tłumy Niemców zaj-

mują się tosieta swojej rozkruszonej stolicy. Tu i ówdzie podniesieni na duchu właściciele piwarń usiłują uruchomić neonowe szyldy. Berliński mrowisko kipi. Niemcy bezustannie lażą tam i z powrotem. Pośpiesznie zmieniają miejsca zamieszkania, sąsiadów, przyjaciół. Powszechnie przetasowanie. Nasze komendantury wojenne na terenie Niemiec zawałone są wzajemnymi niemieckimi donosami.

Nieoczekiwane spotkanie. Długi pochód cudzoziemców, oswojonych z hitlerowskich obozów. Barwy wszystkich narodów — jugosłowiańskie, włoskie, francuskie, holenderskie i inne powiewają nad rzeźnymi wózkami, nad rowerami, nad wózkami dziecięcymi, w których wyzwoleni wiozą swój dobytek. Na słupie wielojęzyczne napisy ze strzałką orientacyjną: „Do miejsca zbiórki obywateli ZSRR i innych państw”. Delegaci niemieccy odwracają głowy. Na przeciwną stronę ulicy wielki Murzyn z poczciwą i pogodną, jak u dziecka, twarzą, ujrzawszy auto z oficerami radzieckimi, entuzjastycznie macha ręką. Delegaci niemieccy odwracają głowy.

Wjeżdżamy w szeroką Frankfurterallee. Zaczyna się tu najmniej zniszczona część Berlina. Stoi dużo całych domów. Powiewają na nich chorągwie, białe i nawet, czerwone, te zresztą z wyraźnymi śladami po tylko co wyprutych swastykach. Z szeroko otwartych okien wychyleni Niemcy gapią się na naszą kolumnę.

Stojący przed studniami ulicznymi w długich kolejkach Niemcy porzucają swoje kolejki, decydują się nawet wrzok oderwać od widoku regulującej ruch kobiety-żołnierza, na którą wybaluszają oczy godzinami — i grupują się wzdłuż chodników na trasie przjazdu naszych maszyn. Daremnie delegaci niemieccy opuszczają głowy, próżno intensywnie wycierają nosy, usiłując zasłonić się chusteczkami przed swoim narodem. Berlińczycy poznali ich. Widać to po raptownym odzieniu, z jakim zaczynają rozmawiać między sobą i pokażwać jeden drugiemu samochód z niemieckimi pełnomocnikami. Nie powiedzieliśmy, że twarze Niemców wyrażały przy tym smutek. Stała ta sama potulnie przypochlebna mina z domieszką zadowolenia, jakże daje zaryzować obserwowanie ciekawego widowiska.

Nie wszyscy jednak wykazują takie zainte resowanie naszą procesją aut. Na murach Berlina istnieje silniejszy magnes: rozkazy komendanta Berlina, generała Bierzanina. Przed nimi tłumy Niemców. Czytały te rozkazy — to jest za słabe określenie. Onaj je studują. Jeden z Niemców ogłąbia się, obrzucając Keitla roztrągniętym spojrzeniem. znowu zagłębia się w lekturę. Keitel — to przeszedł Berlińczyka nie interesuje przeszłość Niemiec. Interesuje go ich tarłańszczość i przyszłość. A to tkwi w rosyjskich rozporządzeniach.

Znowu spotkanie. Tym razem idzie duża kolumna jeńców wojennych. Czy dlatego, że

Niemcy przyzwyczaili się do tego widoku. Czy też z powodu jakiejś wyłącznie niemieckiej, dla nas mało zrozumiałej, bezduszności — Niemcy nie zwracają żadnej uwagi na swoich redaków — jeńców. Zauważyłem to zjawisko niejednokrotnie i nie tylko w Berlinie. Od czasu do czasu jakaś gospodyni wyniesie na brzeg chodnika wiadro z wodą i kubek — przez wazującą większość traktuje jeńców ze zdumiewającą obojętnością, nawet nie patrzy na nich.

A i jeńcy także nie patrzą na swoich wolnych ziomków i wloką się ze zwieszonymi głowami. Zresztą tu, na Frankfurterallee, wielu jeńców zauważyło maszyny z niemieckimi generalami. Widziałem, jak jeńcy podnosili ręce — nie dla podziwienia, ale ruchem gniewnej groźby wobec swoich byłych dowódców. Wywołało to w samochodach niemieckiej delegacji nowy atak „katarów”.

LEW ŚLAWIN

Przekład Wandy Odołskiej.



Podpisanie kapitulacji. Marszałek Żukow



Berlin 1945: Parada Czerwonej Armii

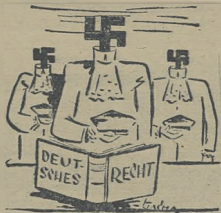


Berlin 1945: Ostatnia parada.

Z reportażu p. t. „Ostatnie dni faszystowskiego imperium”.



# UWAGA na Niemcy!



## Niemieccy sądownicy

Wychodzący w Berlinie dwutygodnik „Die Weltbühne”, wydawany przez Maud Oeseltzky, w dowód po znanym demokracie niemieckim, zamieścił w nrze 6. charakterystyczny szkic p. t. „Sędziowie republiki” (Richter der Republik) w którym poddaje druzgoczącej krytyce chwibność i brak postawy moralnej w sądownictwie niemieckim przed dościsem do władzy Hitlera.

Było to — pisze autor artykułu — sądow. nictwo republikańskie bez republikańs. Ambicja, strach i duchowa nikczemność pę dziła te prawdziwie niepolityczne postacie w szeregu partii hitlerowskiej. Byli to ludzie bez odzwir. cywilnej, z ograniczonym horyzontem, bez uczuć śm. ustroju, o którego wolności aż się rozpyliwały a której sobie w ogóle nie uświadamiali. Byli to techniczni fachowcy, pozbawieni zupełnie charakteru. Gdy padali w całkowitą zależność od partii, stawali w zamilowaniem zasady gwałtu, ubrane w normy prawne. I tą drogą szli dalej, gdy przekroczył ich wreszcie, do czego ich się właściwie używa. Przy boju umysłowych adm. stracji państwowej sędziowie niemieccy z czasu weimarskich poszli zupełnie na łop. czu. Sł. imponowała im już zawsze więcej, aniżeli prawo. Hitler przejrzał odrznu swoich światłobłych pomocników. Kiedy w r. 1933 odbył się w Lipku pierwszy zjazd prawników Trzeciej Rzeszy pod egid. osławionego von Potemny, prawnicy niemieccy deflowali w karnych szeregach z podniesioną prawą ręką przed Hitlerem. Na trybunie znajdował się wówczas wódz prawników Rzeszy (Reichsjuristenführer) późniejszy gubernator generalny Polski, Hans Frank. Z dumą odezwał się wtedy: „Szkoła, że niema tu Gorin. ga, pokazalby nam, jak świetnie maszerują moi radcy sądowi!”. I istotnie — kobczy „Die Weltbühne”, prawnicy niemieccy maszerowali równym krokiem ze zbrodniczym systemem hitlerowskim aż do jego końca”.

Od siebie możemy dodać na podstawie obserwacji dzisiejszych Niemiec, że sądownictwo niemieckie również obecnie jest jaknaj. dalsze od demokratycznych zasad sprawiedli. wości i prawa. Długo jeszcze potrwa, nim naród niemiecki, który w ciągu awych krwawych dzieł. wów stawał zawsze siłą nad prawem, zrozumie, że droga jego do rodziny nar. odów prowadzić może tylko przez poznanie. wnie i stosowanie prawa.

## Książę z Zbrodniarz

Jednym z głównych oskarżonych w procesie oprawców hitlerowskich z obozu koncentracyjnego w Buchenwald, jest także książę niemiecki „Prinz Josias zu Waldeck SS-Öbergruppenführer u. General der Waffen SS und Polizei” — jak brzmiał jego pełny tytuł z czasów panowania Hitlera. Ten szweryński książę, na którego sadystycznym obliczu malują się teraz strach przed groźnym mu strykiem, jest odpowiedzialny za „marz. śm. leri” więźniów przy zbliżaniu się Aliantów. Waldeck zarządził ewakuację obozu i wysłał wygłodniałych i skatowanych więźniów na nieszczę. śmierć w czasie forsowanych marz. zów bliżnych.

## Lekarz przyboczny Himmlera

W procesie przeciwko ludobójcom w kitchach lekarz. kich w Norymberdze pośród 23 oskarż. onych zbrodniarzy znalazł się również le. karz przyboczny Himmlera, prof. dr. Karl Gebhardt. Ojciec jego był lekarzem domowym rodziny Himmlerów w Monachium, stąd też przyjął Gebhardta z Himmlerem datuje się od młodych już lat. 50-letni profesor i lekarz, który stoi pod zarzutem niedolękich ekaper. ymentów na więźniach obozów koncentracyj. nych, występuje przed sądem pewny siebie i arogancki i zimno odpowiada na krzyżowe pytania oskarżyciela amerykańskiego. Jest to typowy przedstawiciel hitlerowskiej „rasy pa. now”.

Na pytanie, czy uważałby za zbrodnic. dokonywanie takich „doświadczeń” na osobach, zmuszonych do poddania się tym ekaper. ymentom, Gebhardt odpowiada, żując nieustan. nie gumę i ważąc każde słowo:

„Gdyby państwo je zalegalizowało, uważa. bym to za zupełnie dopuszczalne”.

Do zbrodni ów lekarz Himmlera nie przy. znaje się, podkreślając stale, że wszelkie dys. pocyje wychodziły od Himmlera, który dą. żył do wytworzenia specjalnej narodow. so. cjalistycznej wiedzy (SS-Wissenschaft) i gro. madzł wokół siebie pseudonaukowców, któ. rzy zachęcałi Himmlera do podejmowania ba. dań naukowych na polu medycyny i inje. wali najzwyklejsze doświadczenia. Gebhardt zaznacza też, że inicjatywa do ekaper. ymentów sulfonamidowych na 60 Polaków w Ra. venbruck wyszła od lekarza państwowego SS (Reichsarzt) Grawitza, który żądał prze. prowadzenia tych zbrodni w warunkach ab. solutnie „wojennych” z wprowadzeniem do tan. brudu odłamków szkła itd. W ten sposób — mówi Gebhardt z cynizmem — dano ofiarom szansę uświakawienia.

Na pytanie prokuratora amerykańskiego Mac Haney, na czym ta szansa polegała, Gebhardt nie umie znaleźć odpowiedzi, ponie. waż „w tej sprawie musiał polegać całkowicie na Himmlerze”.

W prowokacyjny wręcz sposób zarzucił Gebhardt oskarżycielom swoim nieznanosć medycyny, w przeciwnym razie nie mógłby on być w ogóle pociągany do odpowiedzial. ności za doświadczenia, które nie miały nie wątpliwego z męceniem ludzi!

Ohydne, mroźne krew w żyłach, zbrodnie, dokonywane na niewinnych ofiarach przemo. ci i gwałtu hitlerowskiego, były według oce. ny takich jak Gebhardt „lekarzy” niemie. ckich wręcz dobrodziejstwem dla ludzkości. O swojej przynależności do partii hitler. owskiej, lekarz przyboczny Himmlera mówił, że „obowiązkem każdego profesora niemieckie. go było wstąpienie do partii”.

Himmlera charakteryzuje jako „typową drugą postać każdej rewolucji”. Himmler uważał się za generała zakonu SS, którego wzrok skierowany był wyłącznie na swego wodza — Adolfa Hitlera.

Procesy przestępstw hitlerowskich odela. niają nam posturę i krwawe widowisko, które pod nazwą „Trzeciej Rzeszy” rozpyliło się na arenie światła, a którego ciał było męcz. stwo i śmierć milionów niewinnych ludzi oraz ruina i zniszczenie, spowodowane przez nar. od, opętany przez bandę wyuzdanych i zde. genowanych, pozbawionych wszelkich uczuć ludzkich, zbrodniarzy.



## PLASZCZ NIEMPRZEMAKALNY

Nasza kapryśna wiosna zmusza nas do po. siadania jakiegokolwiek ochrony od deszczu: nieprzemakalnego płaszcza, gumowej pelery. ny lub parasolki.

Parasol — to już prawie anachroniczny przyszytek, który zgola „nie przystoi” młodym dziewczętom; wszczął jest to istotnie balast uciążliwy, gdyż mamy i tak co nosić w rękę: torebkę, worek na sprawkę czy toczkę z kł. aškami. Pozostaje więc do wyboru gumo. wa peleryna (musiał być jednak w najlepszym gatunku, gdyż małowartościowa guma czy ce. lofan łatwo pęka) lub nieprzemakalny płaszc.

Najmilszy bez wątpienia jest płaszc nie. przemakalny w pelerynych wyglądają ko. rzystnie tylko b. szczupłe i wysokie sylwetki) o kroju sportowym, ściągnięty w tali pas. kiem. W płaszczu wygląda się zreszcie i m. do, przy tym ma on podwójne zastosowanie, gdyż można go włożyć nawet w chłodniejszy kapturek, gdyż małowartościowa guma czy ce. lofan łatwo pęka) lub nieprzemakalny płaszc.

Na złączonych ryunkach widzimy: 1. Mo. del płaszcza nieprzemakalnego z szarego płó. tna z rękawami wstępnymi replanem. 2. Śia. gnancki płaszczyk z impregnowanym tkaniny w drobniutki krataczkę szaro-czar. a o modnym kroju karczka, imitującym bolerko.

Pekli



# ROZRYWKI UMYSŁOWE

KWADRAT MAGICZNY



Litery zamieszane w tym kwadracie. Zgadnij, po jakiej zasadzie zostały rozmieszczone i napisz, jakie to litery. Wskaz, które z nich tworzą wyrazy, które są przeciwieństwami i synonimami.

## SKAKANKA



Przeskakując stale jednokrotną ilość liter (w prawo) — odczytał znane przydomki polskich.

## KONIKOWKA



Kochem konika szachowego odczytał „słota miły” Stefana Żeromskiego.

## URZĄDANKI

- Zwierzę dwupiętne + miara powietrza = Przyrząd do podnoszenia ciężarów.
- Bożek grecki - część dzieła + skrobakale żmle wafelkie = Przedmiotem sztuki bez zdów.
- Kolor w barach + smęgi, następcwo = Część szubochodu.
- Barwa światła + mineral pigment = Garnocznostwo artystyczne.
- Pierwiastek chemiczny + nódle itarski = Tłuszcz kawelolowe.
- Piek + wierzg = Srebrnó, kij do podpierania.

Rozwiązanie powyższych zadań przesłać należy najpóźniej do dnia 3 czerwca br. pod adresem Redakcji tygodnika „Świat Młodych”, Warszawa, ul. Grzywny 8 z dopiskiem „Rozrywki umysłowe”. Za rozwiązanie ich przyznane zostaną nagrody książkowe.

Jednocześnie przypominamy, że w numerze 9 „Świata Młodych” ogłosiliśmy konkurs wytrwałości, który polega na rozwiązaniu jak największej ilości zadań z cz. nr. 9, 10, 11 i 12, a dla zwycięzców przewidziane są specjalne nagrody.





# MOTORY GRAJĄ...



FOTO FILM POLSKI

Sezon motorowy już się rozpoczął. Na szosach całej Polski słychać mocny rytm cylindrów licznych maszyn turystycznych i nielicznych wyścigówek.

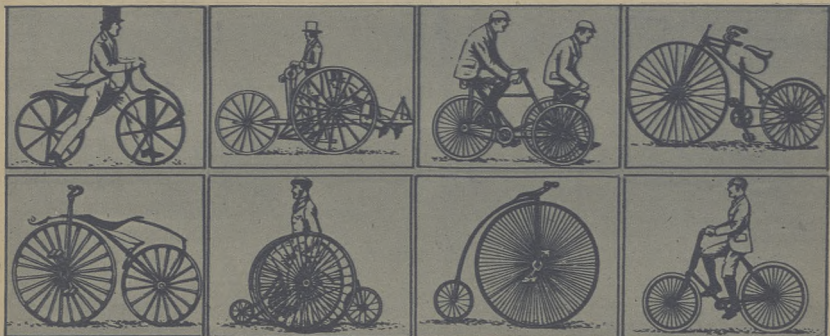
Dowodem zwiolowego rozwoju motocyklizmu w Polsce powojennej jest fakt, że do Polskiego Związku Motocyklowego należy 160 klubów i sekcji

motorowych, zrzeszając przeszło 6 tysięcy aktywnych członków.

Tegoroczny sezon zapowiada się bardzo bogato i interesująco. Z 16-tu wyścigów ulicznych wyróżniają się: „Złoty Kask” Poznania (15 czerwca), „Puchar Bałtyku” w Sopocie (29 czerwca), „Tourist Trophy” w Wiśle (13 lipca), „Grand Prix Polski” (3 sierpnia) i Mistrzostwa Tatr (21 września). Prze-

widywane są także liczne zawody na torze żużlowym, kulminacyjnym punktem których będzie finał drużynowych mistrzostw Polski w Warszawie (22 lipca). Na czoło imprez raidowych wysuwa się V Raid Tatrzański (15—17 sierpnia), będący eliminacją do sześciodniówki motocyklowej organizowanej przez Czechosłowację (16—21 września).

## TAKIE EWOLUCJE PRZECHODZIŁ ROWER



# W. BRYTANIA — „EUROPA”

## Mecz, który niczego nie udowodnił

26-go października 1938 r. odbył się na wspaniałym boisku londyńskiego Arsenalu pierwszy mecz piłkarski Anglii — Europy (a właściwie — reszta Kontynentu). Gospodarze zwyciężyli 3:0 bez większego trudu. Bramki strzelił: Hall, Lawton i Goulden. Team „11 gwiazd”, jak nazywano reprezentację Kontynentu, górował nad wyspiarzami tempem i taktyką, natomiast Angley przez wzięli lepszym opisanianiem piłki no i... zgramiem zespołu.

Pierwsza reprezentacja Europy wystąpiła w następującym składzie: bramkarz — Oliwier (Włochy), obrońca — Foni i Rava (obaj



FOTO FILM POLSKI

Włochy), pomoc — Kupfer (Niemcy), Andreolo (Włochy) i Klitzger (Niemcy), atak — Aston (Francja), Braune (Belgia), Piola (Włochy), Zauggeller (Węgry) i Brustad (Norwegia).

Po dziewięciu latach przerwy, 10-go maja r. b. tym razem stulecieczny tłum na stadionie w Glasgow będzie świadkiem zmagania piłkarzy brytyjskich z resztą Kontynentu. Mecz ten stracił zresztą barwność z chwilą, gdy stało się wiadome, że ani wspaniali piłkarze Związku Radzieckiego (bramkarz Chomcz, obrońca Semczaszyn, czy też na pomocnicy Fedotow lub Bobrow) nie wezmą w nim udziału, podobnie jak i gracze mocarstwa piłkarskiego Europy południowej, Jugosławii (znany nam pomocnik Czyżkowicz, czy na pomocnik Młicki). W rezultacie team „11 gwiazd” został oparty na piłkarzach Północy, którzy uzyskali w ub. sezonie tak dobre wyniki na terenie wyspy angielskiej (szwedzka Kamraterna Norrköping, reprezentacja Ko-

penhagi). Bramki Kontynentu będzie bronił Francis Da Rui (rez. Duńczyk Jensen), w obronie mocnym punktem jest Szwajcar Stefan, występujący zresztą w londyńskiej drużynie 1 ligi, Chelsea. Pomoc składa się z Irlandczyka Careya, Włocha Paroli i Czechy Ludia. Lewa strona ataku to Duńczyk Prest i Hansen, kierownikiem napadu wyznaczono Szweda G. Nordahl (wieloletni go w Polsce w ub. r. w barwach Norrköpingu), po którego prawej stronie zagra na łączniku jego rodak Green, a na skrzydle Holender Wilkes lub Belg Lembrecht.

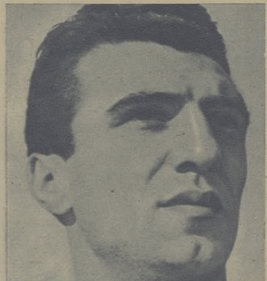
Faworytem meczu jest oczywiście W. Brytania, której skład oparty jest naturalnie na Anglikach, z doskonałym bramkarzem Swiftem (Manchester City) i „nieśmiertelnym” Lawtonem (Chelsea) na środku ataku na czele. W pomocy zagra Szkot Campbell znany Polakom z meczu śląska z drużyną Greenock Morton (w czasie pamiętnego zesłorocznego turnieju Polaków po Szkocji).



G. Nordahl



A. Chomcz



Parola

**Uwaga:** Rubryka „Odpowiedzi Redakcji” ukazują się w następnym numerze.

REDAKUJE ZESPÓŁ  
WYDAWCA: SPÓŁDZ. \*  
WYD. „PEOMIENIE”

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, ul. GRAZYNY 8. TEL. 8-51-32  
PRENUMERAJA KWARTALNA ZŁ. 225.— Z PRZESYŁKĄ DO DOMU  
WPEŁACIĆ NA KONTO P. K. O. WARSZAWA, Nr I - 4252



*Swiat*  
MŁODYCH

